



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

DOM.

„Dom powinien być niebem dla męża — światem dla żony — portem dla synów — a szkołą dla córek!”

Dom! Cztery ściany bielone, jedno okienko małe, drzwi skrzypliwie się zamykające — piec za przytuloną do niego ławą... strzechą mech porośłą... oto dom.

Wspaniałe gmach lśniący kilkoma rzędami ogromnych okien, ozdobiony kolumnami o formach klasycznych, składający się z wielkiej liczby salonów, komnat, krużganków, z przepychem urządzonych... gdzie pełno marmurów, hebanu, zwierciadeł, i arcydzieł sztuk pięknych — to także dom.

I wilgotna, ciemna, ponura izdebka w suterrenach, do której rzadko kiedy złoty gość, promyk słoneczny zawita, i ta stancyjka na poddaszu, z której tylko dymy czarne i niekształtne dachy widać... to także dom.

Jakże więc dużo w sobie to słowo kryje. Jakąż obszerną grę obejmuje. Od najnędzniejszej lepianki do najwspanialszego gmachu wszystko to co w stopniowaniu od nędzy do przepychu da się ująć i w skalę potęgowania ułożyć, to wszystko słowo dom w sobie kryje.

Bo dom, prócz znaczenia swego, określającego nazwę budynku mieszkalnego — ma przecież inne wielkie — wzniosłe, święte znaczenie.

W słowie dom, kryje się cały urok, piękno i szczęście życia rodzinnego, ciszy, spokoju, słodyczy i tego ciepła, jakiego nic innego w świecie nie da. To też, gdy się w gwarze ludowej spotyka owe, dość często powtarzane wyrazy, — „bezdomny sierota“ zdumiewa nas, jak umie lud w dwa słowa włożyć tyle skargi i bólu.

Człowiek bez domu — to ptaszę bez gniazda, wiosna bez kwiatów, lato bez słońca. Człowiek bez domu, to na stepie samotnie stojąca drzewina, to złamane życie — pęknięta czara szczęścia.

Człowiek bez domu to wieczny tułacz — wygnaniec, istota biedna — sierota wśród świata wielkiego — sama jedna.

Człowiek bez domu, to zbłąkany wędrowiec wśród wielu dróg życia — zabrakło mu światła tego, jakie daje ognisko domowe więc ciemności otoczyły go w około... serce w piersi zamarzło, najbliższy cel życia stracony — nie ma gdzie spocząć, nie ma osobistego celu do którego idzie... najniezszczęśliwsze życie istoty... a przecież — iluż by Dyogenes odnalazł dziś wśród nas takich biednych ludzi, odnalazł nawet bez latarni!

*

*

*

Lecz zwróćmy myśl ku tym szczęśliwym, którzy dom mają. Czy też samo posiadanie domu, czyli wyraźniej mówiąc, rozalenie ogniska domowego i stworzenie życia rodzinnego, może dać prawdziwe i zupełne szczęście, czy dla wszystkich jest ono tem, czem być powinno?

Wszak wiemy zanadto dobrze, iż tak nie jest. Dla jednych dom jest świątynią, nieskażoną nawet techniem waśni, niezgody — nudy lub upadku moralnego, a dla drugich dom jest obojętnym tylko mieszkaniem, martwym składem mebli, lub co gorsza — niewolą ciężką. Dla jednych dom daje wszystko, co najpiękniejsze — najczystsze i najszlachetniejsze na ziemi, a dla drugich daje schronienie przed burzą i zimnem — pokarm codzienny dla ciała i nadto nic więcej. Jednym dom jest rajem — dla drugich lokalem najętym, dla innych wreszcie — piekłem. Jednych dom podnosi, uszlachetnia, uzacnia i uświęca, drugich poniża — strąca w ciemnie moralne — brudzi.

I nie zależy ten dodatni lub ujemny wpływ od tego czy dom jest pałacem bogatym lub lepianką nędzną, czy składa się z wielkiej liczby komnat lub jednej izdebki ubogiej... ale zależy to od ducha, jaki w tym domu mieszka i przepelnia jego ściany.

Dom jako dom — jest rzeczą martwą, składającą się z tyłu, a tyłu metrów drzewa lub cegły, marmuru lub sosniny z różnych lasów wyciętej.

Ale dom jako przybytek rodziny, jest zespoleniem dwóch dusz i serc dwojga, które połączywszy się węzłem dozgonnym ślubu małżeńskiego, rozpalając ognisko życia rodzinnego, przynoszą w dom ducha, myśl — serce i dobrą wolę i cel jasno zarysowany, do którego dążyć mają wspólnie.

Od tego ducha dwóch istot, męża i żony, zależy owa świętość, wielkość i potęga domu, lub też jego nicość, próżnia i upadek.

Skleić ubogą lepiankę, byle stała, to łatwo i łatwo bogaczowi wzniesić pałac ogromny na to by stał i zdumiewał oczy ludzi ubogich, ale też łatwo stworzyć dom, przez połączenie dwóch istot, dla tego tylko, aby mieć wygodę, własną służbę, i światowe stanowisko.

Lecz kto chce ubogą lepiankę zmienić w przybytek szczęścia—prawdy i cnoty, bogaty dom uczynić domem ludzi obowiązkowo żyjących duchem, a nie ciałem jedynie, ten niech rozważy i zbada do brze... ile to powinności bierze na swe ramiona ten, kto ma być *głową domu* i ta, która ma być *sercem domu*.

* *

*

Dlaczego dziś u nas żalą się wszyscy, iż coraz mniej ognisk domowych się rozpala, co raz rzadziej otwierają się nowe domy—co raz więcej jest kobiet takich, które muszą szukać i szczęścia i bytu na samotnej drodze życia i mężczyźni „bezdomnych“ liczba wzrasta ciągle?...

Czyliż brakło sosen na zbudowanie nowych gniazd dla rodzin, czyli w tych miastach wielkich, w których tyle „domów“ kryje się pod jednym dachem kamienicy, trudno już o miejsce dla niektórych, czyli też niema komu stanąć u nowego ogniska i rozpaliwszy ogień, podtrzymać go, aby nie wygasł?

Jest dość drzewa na domki ubogie i w bogatych domach dość pustych pokoi,—ale brakuje tego ducha, który „dom“ stwarza i który daje szczęścia nieprzebrane skarby.

„Dziś na rozum ludzie biorą,
„Ale idzie coś niesporo“

powiada tęskny autor „Janka Cmentarnika.“ A my odważmy się jeszcze rzec inaczej—dziś na pieniądź ludzie patrzą, i dlatego gasną ogniska dawne, ciepłe i świetlane, a nowych coraz mniej się rozpala, coraz są one chłodniejsze i ani nie grzeją tych, co nad nimi straż mają, ani nie umieją ogrzać serc tych, którzy przy ich ogniskach rosną i mają kiedyś własny „dom,“ zbudować.

Za wiele dziś wymagań do tego nowego domu, za wiele zbytków, komfortu i szyku na pierwszym planie stawiają przyszłe żony i przyszli mężowie, a dlatego niejednej istocie pójdzie życie na marne i będzie wiecznie do obcych gniazd przytulona i u obcych ognisk grzana, bo nie widziała szczęścia choćby przy łuczywie, lecz chciała je znaleźć przy kinkietach żarzących.

Więc nieraz staje człek pytając—dom to czy nie dom??

Czy tu mieszkają, żyją i najważniejsze miejsce zajmują meble, dywany, marmury i brzozy,—a ludzie są tylko dla tego, aby dać nazwę domowi, czy też istotnie w domu tym, jest duch—serce i cel życia, a wszystko inne jest tylko tem, czem są mniej lub więcej piękne lub ubogie wybrzeża płynącej szeroko i głęboko rzeki. Są skaliste—bezbarwne—ponure, przecież rzeka rzeką jest i mimo to dąży do swego celu, a są one kwietne, umajone i piękne, tak że to ani czystości wody, ani dążeniu do celu rzece nie przeszkadza.

— Pan nie ma domu?... pytają się tego lub owego mężczyznę, a jeden odpowiada:

— Nie mam, bo dziś czasy ciężkie... moja pensja jeszcze za mała. a drugi mówi:

— Nie mam, bo dziś wymagania żon są tak wygórowane, iż nie można im zadość uczynić, a trzeci znów.

— Nie mam, bo swoboda osobista to największe szczęście, a dziś żony za silnie chcą trzymać berło domowego rządu.

a czwarty na to:

— Nie mam, bo gąski się boją gdyż nudna i światowa, a mądre żony są za samodzielne i mniej uległe władzy mężowskiej.

I tak tysiąc powodów wskażą ci, którzy „domu“ nie mają swego i tysiąc przeszkód wyliczą, iż istotnie ze zdumieniem patrzy się na to i pyta:—Jakto?... czyliż myśmy przespali parę wieków i nie wiemy co za przewrót stał się w świecie?

Domy to czy nie domy, co widzimy w koło siebie i czyli żyją tam ludzie szczęśliwi?... A ci, co są bezdomni, czyli prawdziwie nie mogli znaleźć tego, co do budowy domu jest niezbędnie potrzebne to jest bratniej duszy i serca wiernie kochającego?

* *

*

Najlepszym architektem do zbudowania „domu“ jest *miłość!*

Kto bez niej rozpala ognisko, nie utrzyma go stale, choćby własną piersią ciepła mu dodawał, choćby znosił najlepsze drzewka do palenia się, choćby chuchał i chuchał na nie bezustanku. Zagaśnie—jeśli wzajemnej, świętej, trwałej miłości nie będzie. I dom choćby

był najwspanialszy—największy najpiękniejszy będzie zawsze zimny—głuchy—pusty, a gdzie ona jest, tam „stancyjka“ z poddasza zmieni się w czarodziejski pałac, a lepianka nędzna będzie najpiękniejszą komnatą, gdzie jest miłość, tam jest „dom dla męża niebem światem dla żony, portem dla synów, a szkołą dla córek.“

Czemuż więc niema tej miłości wszędzie, w każdym domu, przy każdym ognisku, w każdym skojarzeniu dwóch dusz i dwóch serc?

Oto właśnie dla tego, że nie każdy dom jest tą szkołą dla córek, która uczy nie fizyki i algebry, ale miłości, poznania prawd świętych, która wszczepia w serce zasady będące podwaliną do budowy szczęścia i własnego i rodziny przyszłej, która umie pogodzić i połączyć wszelkie powinności z walką i móżolem życia, która myśl rozwinię i wiedzę wzbogaci, nie czyniąc z kobiety ani karykatury ani anioła, lecz obowiązkowego—człowieka.

Oto dla tego, że nie każdy dom jest tym portem dla synów, którzy wśród burz i wichrów umieją uniknąć rozbicia, nie dadzą się unieść falam spienionym i niepewnym, którzy wiedzą, iż gdy „dla kobiety dom światem, a dla nich świat domem“ przecież nie wolno im wyrwać się tak z progów domowych, iżby wszystkie nici były star-gane i drogi powrotu zniszczone.

Dom stanowi o szczęściu nie tylko tych dwojga, którzy doń weszli i nowe życie poczynają, ale i o szczęściu tych, którzy kiedyś z tego domu pójdą w świat i nowe ogniska rozpala.

To czem dom ma ubogacić i obdarować młode pokolenie jest świętem dziedzictwem po matce i ojcu i jeśli dzieci nie otrzymają w domu tego skarbu, podstawy—zasad—i cnót tych, które jedynie dom dać może—zostaną na całe życie nędzarzami najuboższymi, bo im świat i wiedza tego nie da, co dać jedynie może roztropna miłość matki, prawy i silny charakter ojca—życie rodzinne.

I my patrząc na życie biedne, wypaczone, złamane nie pytajmy:—dom to czy nie dom, lecz raczej wołajmy z bólem:—czy ci ludzie mieli dom w dzieciństwie?

Roztkliwi się niejeden nad pisklęciem z gniazda wypadłem i pyta:—czyliż się wychowa? A czemuż nie pytamy ze łzami: czy ten dom wychowa dzieci na dołę—niedolę na szczęście lub ból—na bogactwo lub nędzę kraju?...

* * *

Płyną fale rzeki za falami—mijają dni za dniami... snują się srebrne nici po wrzcionach i piosnki smętne płyną w dal. Wszystko tak jak dawniej bywało. I takie same ubożuchne chatki stoją kędyś na skraju wioski, jak bywały i takie bogate, pyszne, wielkie miasta rozkładają się coraz szerzej jak dawniej były. I ludzie są dziś tak samo biedni—smutni i przygnębieni jak byli dawniej. A przecież...

A przecież dawniej było więcej u tych ludzi hartu i mocy, wytrwania i dzielności, poświęcenia i cnót wielkich, potężnych, a u nas dziś ileż niewiary, egoizmu, sarkazmu, upadku, błędu i zimna grobowego. Czyliż w innych kolebkach kolebano te pokolenia, innemi piosenkami do snu ich kołysano, pojono serca młode inną wiarą, nadzieją i miłością?...

Zgasło w domu to, co było życiem ducha i serca domu, a ztąd wszystko złe—nikczemne i brudne znalazło otwarte wrota do serc ludzkich.

Dom stał się albo kantorem, w którym tylko liczą procenta, albo sceną, na której tylko odgrywa się komedię życia rodzinnego, stał się estradą naukową, z której tylko uczą i rozum wyrabiają, stał się owym filozofem, który tylko w to wierzy, co dotknie, a serce nazwał machiną do utrzymania obiegu krwi... więc miłość musiała odejść ztąd zupełnie—krzyż Chrystusa pobladł na rodzinnym obrazie, a szczęście skryło się, tam—gdzie w złych, przejściowych czasach chroni się prosta wiara, szczere uczucie i skrzętna praca.

* * *

Więc jeśli chcecie ludzi sądzić i oceniać, poczynajcie nie od ich szumnych frazesów, ani ich czynów głośnych, ani ich strojów i bogactw... lecz patrzcie na ich dom.

Nie ściany domu, ale to czem te ściany są ożywione, nie okna, które dają oświetlenie lecz tę myśl, która przez okna w świat płynie, nie ilość ich pokoi, ale treść pracy tych ludzi, nie forma i obicie mebli, ale piękno ducha, odbijającego się w każdej drobnostce, to niech do was mówi o tem, czy dom ten jest: „gniazdem“ istotnie, czy tylko budynkiem z numerem w szeregu podobnych sobie. Jeśli znajdziecie domy, które są niebem dla mężów, światem dla żon, portem dla synów i szkołą dla córek“ powiedzcie:—cześć i pokój tym, którzy pustę—zimne—bezduszne i bez serca... mówcie:—O Boże! ustrzeż i nas i nasze rodziny od tego, by domy nasze nie były tylko domami, z drzewa, cegły i kamienia, ale z ducha—serca i wiary.

Jadwiga Strokowa.



ŁUK I ARFA.

Dziki myśliwiec szedł rankiem przez leśną gęstwinę cieniastą,
Łuk zarzuciwszy na ramię i okiem tryumfu sokoła
Rozradowany spogląda. Złocistą promieni swych siecią
Słońce skroś gąszcz przedzierało się, zieleń i srebrząc i złocąc.
Z piersi olbrzymich pni drzew—i z głębin porosłej mchem ziemi
Dech się unosił wilgotny, i z ciepłym się pieścił zefirem.
Patrzył radośnie na las—i na słońce ów dziki myśliwiec,
Bo oto wróg zwyciężony, co plemię i ród mu najechał,
Bo czarnooka dziewczyna, porwana dziś w jego namiocie
Żyje szczęśliwa, odziana w naszyjnik z pazurów niedźwiedziach,
A oto łup dziś bogaty na łowach miał dziki myśliwiec:
Na muskularnych mu barach wisiała krwią własną zbryzgana
Łania olbrzymia o włosach złocistych i cichem spojrzaniu.

Szmer w jego duszy był dziwny: bo miał niby żywe igrzysko
Dla wszystkich mocy swej duszy i ciała: dla rąk bohaterskich
Ciosy potężne; dla nóg swych miał rzuty sprężyste i tęgie,
Strzały dla oka miał celne—i giętkie napięcia dla łuku.
I cała walka szemrała we krwi i pamięci myśliwca.

(Były to pierwsze dni świata, gdy człowiek nie wiedział, co Wczoraj,
A przed oczami swej duszy miał Jutro bez granic i końca).

A las był gęsty i ciemny: szerokie, ogromne konary,
Jak opuszczone ramiona chyliły się z dębów, jesionów,
Z brzoź rozplakanych i lip—i z zielonych jaworów tysiąca
Śród zacieśnionych tych drzew—przez gęstwiny paproci brodatych—
Szedł, przedzierając się zwolna—zwycięzki półnagi myśliwiec.
Żyła bawola oparta na łuku przez ramię zawisłym,
Gdy się przedzierał przez gąszcz o konary się wciąż uderzała —
I jakoś dziwnie dzwoniła, dzwoniła w tej leśnej cigęzi *),

W duszy dzikiego myśliwca, co w okół spoglądał wesoło,
Czuąc się teraz bezpieczny, jak duch, co po walce spoczywa,
Dziwnie a słodko dzwoniła drgająca śród lasu cięciwa.
Naraz gęstwiną się kończy—i widać szeroką polanę
I myśl zabłysła szeroka w natchnieniu dzikiego myśliwca.
Dodam—pomyślał—do pierwszej i drugą cięciwę i trzecią:
Jakże mi dzwonić też będzie, o drzew uderzana gałęzie?
I spoza szat swoich skąpych, ze skóry bydłowej splecionych
Wyjął dwie żyły bawole—i oto na łuk je naciągnął
Niżej od pierwszej—i z lekka o drzewa uderzać zaczyna.
Dźwięk siły większej mu zabrzmiał—i dziwna zabrzmiała muzyka,
Jakoby pieśń młodych ptaków, co gwarnie witają wschód słońca.
Potem uderzał palcami w troistą cięciwę na łuku
I niespodzianym się dźwiękom w swem sercu zdumiewał jak czarom!
Wróg niby żywy stał przed nim, a oto dziewczyna jak łabędź
Biegła przez las; oto łania leciała grotami ścigana;
Walki i świeże i dawne w pamięci mu naraz ożyły,

*) W cigęzi—w cieniu, w mroku (powiat płoński).

ELIZA ORZESZKOWA.

(Dalszy ciąg).

W *Rodzinie Brochwiczów* poruszoną kwestyę utrzymania własności ziemskiej widzimy nierozwiązaną właściwie, bowiem jedni, silni i energiczni, jak Stefan Sיעiński, chwytają się innych środków pracy, przechodzą na inne pole, np. han-

dlu, drudzy zaś, jak Maryan Brochwicz, nie wierzą w przyszłość, opuszczają ręce przed czasem i w hulankach usiłują stłumić w sobie ostatni głos sumienia, wyrzucający im opuszczone stanowisko. A gdzie są ci, co, zrozumiałwszy nowe wymagania czasu i nauczywszy się stosować do nich, wszystko przetrwają i zostaną tam, gdzie byli?

Odpowiedź na to dała Orzeszkowa najpierw w powieści *Nad Niemnem*, a następnie jeszcze plastyczniej w *Australczyku* i *Dwóch biegunach*. Ztąd utwory te, jakkolwiek w różnych powstały czasach, jednakże łączą się z sobą jedną wspólną

Żubry, niedźwiedzie i wilki zawyły jak wichur szalony,
Bór mu zaszumił—i krzyki człowiecze zabrzmiały w cięciwach,
Śmiechy i jęk i wołanie: Na bój—i uściski dziewczęce,
I twarze tych, co pomarli, uszedłszy za wodę szeroką:
Wszystko ożyło jak czarem w magicznych trzech żyłach bawolich,
Dalej a dalej gęstwiną szedł dziki myśliwiec, wzruszony
Ku swemu siołu. Z daleka rodzinne już dymy spostrzegął,
W niebo ku górze płynące, z szerokich namiotów skórzanych.
(Słońce wschodziło powoli—na środek błękitu złociste).
Zdała ku niemu powietrzem—leciały radosne okrzyki—
Wrzawą myśliwca witano; myśliwiec nie słucha powitań —
Łanię z potężnych swych bark—niby ptaszę powalił na ziemię
I woła: Bracia, słuchajcie, jak dzwoni potrójna cięciwa!
Słuchajcie—woła—i w kolej trzy żyły palcami uderza —
I naraz drgnęły trzy żyły—i dreszcz przejął serca słuchaczy
I jakieś nowe zachwyty—i nowe odczuli porywy.
Krew uderzyła i nogi bezwiednie się w tan układały —
I ciała wszystkie poczęły się rytmem poruszać jednakim,
I dusze wszystkie się rwały w nieznaną, dalekie przestwory —
I niby ptaki skrzydlate do góry się rwały, do góry...
Łuk dzwonił coraz potężniej, że—zda się—w nim pszczoł roje brzęczą—
(Słońce ogromną swą tarczą—spływało na zachód w purpurze).

Tak narodziła się arfa.

I liczne minęły stulecia
Świat powielekroć się zmieniał i arfa zmieniała z nim razem,
Ale na zawsze w niej łuk—tajemniczo ukryty spoczywa.

Błogosławiona bądź, arfo! o siostró i córo świetlana
Łuku z cięciwą napiętą, gdy ramię napręża go silne.
Z strzał jego złotych poświstem—płynęłaś ty zawsze we sfory:
Byłaś mu wiatru powiewem—i słupem ognistym na drodze —
Byłaś latarnią śród burz—i na ucztach kielichem nektaru!
Błogosławiona bądź, arfo! i tyś błogosławion, o łuku!
Czynem ognistym był łuk, a zaś arfa do czynu wezwaniem.
Łuk—jako wichur i grom—leciał arfy marzenia wypełniać,
Arfa zaś łuk opiewała na chwałę i cześć i wspomnienie
Aż—ci w przeciwne dwie strony—rozeszły się dzisiaj łuk z arfą
I jako obce dwa duchy—po ciemnych dziś błądzą manowcach—
I zapomniały się wzajem—i próżno szukają się wzajem —
Bo porzewiały arf struny—i łuku omdlała cięciwa —
Piękno zamarło na ziemi—i czyny zamarły i pieśni:
Życie zamarło i duch—przygnębiony zamiera z tęsknoty.

O, gdyby powstał nanowo z mogiły swej dziki myśliwiec
I gdyby stanął twarz w twarz—z pokoleniem dzisiejszem człowiekiem,
Pewnie-by zadrgał w nim ból—i nad karlim zawołałby wnukiem:
O arfo, kiedyż—ty znowu, o kiedyż odrodzisz się łukiem!

A. Lange.

ideą i stanowią osobną grupę w całej masie prac naszej autorki.

Szlachta zaściankowa, występująca tak barwnie i pociągająco w utworze *Nad Niemnem*, ukazała się powtórnie u Orzeszkowej w kilka lat później w powieści *Bene nati* (1891), gdzie widzimy kilka osobników płci obojga z rodziny Osipowiczów, a obok nich charakterystyczną postać Kazimierza Jaśmonta, występującego w roli swata, i młokosa Władysława Cydzika, który zresztą jest w utworze jako typ lub charakter postacią podrzędniejszą. Atoli wogóle, wyznać należy, malowidło tej szlachty nie jest całkowicie zada-

walające najpierw dlatego, że najczęściej autorka przemawia sama zamiast odmalować rozmowę między osobami, na czym cierpi akcja i żywość kolorów, w jakich się one ukazują, a następnie i dlatego, że wogóle zamała w powieści znajdujemy cechy charakterystycznych tej szlachty zasciankowej, która bądźco bądź posiada tyle z jednej strony objawów dodatnich, a z drugiej—słabostek i śmiesznośtek, że może dostarczyć powieściopisarzowi niezmiernie obfitego materiału, który będąc należycie wyczerpanym i umiejętnie obrobionym, uczyni utwór wysoce zajmującym.

Wśród wielu rozmaitych objawów życia społecznego, znajdujących odbicie swoje w powieściach Orzeszkowej, kwestya żydowska obok trzech powyższych rozpatrzonych zajmuje dość wybitne miejsce. Do utworów, w których głównymi bohaterami są żydzi, należą oprócz kilku drobnych nowelek (*Gedali*, *Silny Samson*, *Daj kwiatek* i *Ogniuwa*) dwie obszerniejsze powieści: *Eli Makower* i *Meir Ezofowicz*, a obok tego jedna rozprawka p. t. *O żydach i kwestyi żydowskiej*, specjalnie temu przedmiotowi poświęcona. Praca ta, aczkolwiek pobieżnie traktuje przedmiot i nie wyczerpuje go wszechstronnie, jednakże ważną jest z tego względu, że zawiera w sobie jasno wyłożone zasadnicze poglądy autorki na tę kwestyę. Orzeszkowa w poglądach tych staje na stanowisku czysto obiektywnym, jako sędzia rozumny i bezstronny, zwracający zawsze uwagę nie tylko na same zjawiska, ale i na towarzyszące im okoliczności.

Przedewszystkiem w pracy powyższej zastanawia się autorka nad znaczeniem i słusnością zarzutów, czynionych przez ogół nasz żydom. Wszystkie te zarzuty trojakiej wogóle bywają natury: 1) chęć wyzysku i oszustwo, którego ofiarą staje się ogół chrześcian łatwowiernych i nieostrożnych, 2) pycha i arogancja w połączeniu z głupotą wzbogaconych Geldhabów i nakoniec 3) odrębność rasowa, wyrażająca się w stroju, religii i języku. Co się tyczy dwóch pierwszych zarzutów zwraca autorka uwagę na to, że nie tylko żydów wyłącznie obciążać niemi należy; wszak i wśród naszego społeczeństwa i wśród innych narodów europejskich spotykamy się dość często nie tylko z niesumiennością, ale widzimy także wiele przykładów najbrzydliwszego wyzysku w rozmaitych formach i to nie tylko w handlu, ale i w wielu innych zawodach. Zupełnie tak samo śmiesznym byłoby twierdzenie, że tylko wśród żydów wzbogacone jednostki stają się Geldhabami; typy takie właściwe są wszelkim narodowościom i wszędzie się znajdują; Molierowski Jourdain jest zupełnie podobny do Fredrowskiego Geldhaba, jakkolwiek należy do jednego z najuczynliwszych narodów. Skoro więc o podobne wady obwiniamy żydów, obwiniamy także i inne narody europejskie, i siebie samych.

Trzeci natomiast zarzut, tyczący się odrębności narodowej, nie pozwalającej żydom rozumieć interesów ogółu, wśród którego żyją, brać w nich żywego udziału jest najzupełniej słuszny. W jaki tedy sposób zaradzić złemu? Autorka przemawia tu do nas nie pod wpływem jakichkolwiek uprzedzeń, jakichś osobistych sympatyj lub antypatyj, lecz w imię prostej sprawiedliwości, w imię miłości ludzkiej i w imię dobrze rozumianych interesów społeczeństwa. Że żydzi są takimi, a nie innymi, przeważnie, niestety, nasza w tem wina. Myszmy zawinili wobec nich, okazując im nieustanną pogardę, zapatrując się na nich, jako na paryasów społecznych, nie okazując im już nie tylko przyjaźni, ale częstokroć najzwyczajszego uczucia litości; nie dziw tedy, że i oni wobec tego zbyt niechętnie ku nam miłości bynajmniej odczuwać nie mogą i stronią od nas, zamiast łączyć się z nami. Nie wszczępiwszy żydom poczucia obowiązków, nie dawszy im oświaty, odpychając ich przez tyle wieków od siebie, czyż możemy żądać od nich uczciwości i sumiennosci wobec nas, a nade wszystko czyż możemy wymagać, by obecnie byli oni dobrymi i pożytecznymi członkami społeczeństwa? Zamiast tedy w dalszym ciągu zniechęcać ich do siebie, pracujemy raczej nad zapełnieniem tej przepaści, którą między

obu rasami wieki całe wytworzyły, postępujemy tak, aby nas nauczono się szanować, i siejmy wśród tych mas nieukształconych oświatę, która będzie najlepszym, najskuteczniejszym środkiem do uspołecznienia tych, których dziś pasorzytami naszymi zowiemy.

Że Orzeszkowa doskonale zrozumiała rolę, jaką wobec nas odgrywają żydzi i że nie zamknęła oczu na ich wady i szkody, które naszemu społeczeństwu wyrządzają, świadczy dokładnie *Eli Makower*, jedyna jej powieść, odzwierciedlająca stosunki, zachodzące między nimi, a obywatelstwem wiejskiem. Z jednej tedy strony stają tu właściciele ziemscy, przeważnie ludzie niedołążni, jak np. Łozowscy, albo próżniacy lekkomyślni, jak pani Malwina i jej syn, którzy coraz bardziej brną w długi wobec nieumiejętnej i zaniedbanej gospodarki, wkońcu dochodzą do ostatecznej ruiny. Z takiej sytuacji korzysta sprytny i wytrwały żyd, który, niezawsze chadzając prostymi drogami, dorobił się grosza i teraz gnębi zadłużoną szlachtę, nie znając najmniejszej litości nad nią. Eli gardzi tymi ludźmi, bo nie umieją pracować, nie umieją szanować grosza, bo są to osobniki, dążący do zaspokojenia jeno własnych zachcianek, nie hołdujący żadnym ideom prócz idei użycia, bo wreszcie są to ludzie, łączący w sobie niedołążstwo z lekkomyślnością. Więc korzysta z nich i wyzyskuje bez litości, skoro się dają wyzyskiwać. Żyd ów jest przeciwstawieniem do tej szlachty i stoi po drugiej stronie obrazu; jest to człowiek, który nieustannie pracuje, oszczędza, ale nie żałuje grosza tam, gdzie zachodzi istotna potrzeba wydania go; więc nie żałuje na wykształcenie dzieci, na dostarczenie potrzebnych wygód staremu ojcu i uboższej rodzinie, wreszcie nie żałuje na cele publiczne swej gminy, wspierając biedaków współwyznawców i dając im możność zarobkowania; to też zasłużonym wśród swoich cieszy się on szacunkiem, jako pożyteczny członek swego społeczeństwa. Chrześcian nienawidzi nie tylko z powodów wyżej wyłuszczonej, ale i dlatego głównie, że wśród nich i on, i jego współbracia spotykali się zawsze z lekceważeniem, z pogardą i szyderstwem; więc płaci im pięknem za nadobne. Nakoniec Eli zetknął się z takim Mieczysławem Orchowskim, człowiekiem uczciwym, energicznym i usiłującym bądźco bądź uratować zadłużony majątek; z początku rozpoczął i z nim walkę, chcąc jak i innych zgnać, jednakże wkońcu pod wpływem słów ojca swego, którego niegdyś ojciec Mieczysława wydobył z nędzy razem z dziećmi drobnymi, żyd zaprzestaje względem niego swej polityki i, uszanowawszy w nim pracę i prawość charakteru, wyciąga rękę do zgody. Ostateczny pogląd autorki na stosunek tak dziś zaostrzony obu ras streszcza się w słowach Elego kończącej powieść: „Dobrzeby było, gdybyśmy tem, co mamy, jedni z drugimi dzielili się; gdyby panowie od nas nauczyli się być przewidujące, obrotne i wytrwałe, a nas uczyli, co to jest prawdziwy honor i prawdziwa edukacja.“ Sądzymy, że każdy człowiek prawdziwie rozumny, beznamiętny i szczerze dbający o dobro własnego społeczeństwa na te słowa autorki godzić się musi bezwarunkowo.

(Dalszy ciąg nastąpi).

W kwestyi równouprawnienia kobiet

wobec nauki, pracy i dostojności ludzkiej.

(List otwarty do kobiet niemieckich).

ELIZY ORZESZKOWEJ.

(Dalszy ciąg).

II.

Na firmamencie niebieskim chyba zmieściłby się spis dobrodziejstw, któremi dotychczasowi,

wyłączni panowie świata: mężczyźni, obdarzyli dziedziny jego—fizyczne i umysłowe. Od stanu dzikości, w którym człowiek mrąc naprzemian z głodu lub obżarstwa, oddawał cześć boską kawałkowi drewna, lękał się echa własnego głosu, drżał przed własnym cieniem, porozumiewał się z podobnymi sobie przez oderwane krzyki, do manipulowania najskromniejszymi cyframi potrzebował pomocy palców u rąk i nóg posiadanych, doprowadzili oni ludzkość do tego stopnia kultury materialnej i umysłowej, na którym ją dziś widzimy; wiekami trudów nieopisanymi, przez pokolenia niezliczone, zdołali otworzyć przed ludzkością źródła dobrobytu, wiedzy, estetyki. Udział kobiet w tem tworzeniu olbrzymiem był niewątpliwie znacznym, lecz z przyczyn rozmaitych musiał być tylko pomocniczym i naśladowczym. Mężczyźni to, — z pomocniczym i naśladowczym tylko udziałem kobiet, — wytworzyli rolnictwo, przemysł, naukę, sztukę; jest to prawda i strzeżmy się jej zaprzeczać, aby niesprawiedliwe sądy i przesadne roszczenia nie przynosiły ujmy sprawie naszej.

Ale jeżeli zechcemy obrócić medal na stronę odwrotną, na tę stronę, po której znajduje się moralność, czyli: sprawiedliwość, dobroć, miłość, czystość, ofiarność, współczucie, współpomoc, z łatwością przyjdziemy do przekonania, że wszystkie dotychczasowe roboty w tym kierunku, doprowadziły świat do rezultatu nadzwyczaj mizernego. Były jednak roboty liczne, różnorodne, ważne, pracowały dla tego celu religie i filozofie, umierali dla niego ludzie na stosach, krzyżach, szubienicach, wytworzyły się na rzecz jego kodeksy pomiędzy-ludzkich i pomiędzy-narodowych praw i obowiązków, nauczano go ze szczytów gór, z kazalnicy, z katedr, po miastach i po pustyniach. I cóż? przed wielu wiekami brzmiał głos wołający: *homo res sacra homini!* a nasz wiek, z pomiędzy bogatych w wynalazki i wykinty najbogatszy, dogorywa z jednym, choralnym krzykiem: *Homo homini lupus!*

Przed wiekami już mędrzec z Elei wołał: powściągać się! Dewizą wygłaszaną przez tych, którzy mienią się najwierniejszymi synami naszego wieku, stało się: Używaj! Używaj, czego? Dóbr materialnych przedewszystkiem, dóbr umysłowych także, ale dla tego tylko, że one tobie, tobie sprawiają rozkosz, lub korzyść! Jak okiem zatoczyć, świat cywilizowany przedstawia jeden taniec przed cielcem materii i jeden obóz uzbrojonych przeciw sobie jednostek i narodów. Każdy przeciw każdemu, wszyscy przeciw wszystkim. Nie ma takiej piędzi ziemi, z którejby ktoś kogoś zepchnąć nie usiłował, nie ma takiego biesiadnego stołu u któregoby nie leżeli Łazarze. W stosunkach towarzyskich płochą zabawa i udawanie nie posiadanych uczuć; w stosunkach społecznych zbytek i nędza, wyzysk i krzywda; w stosunkach pomiędzy narodowych—milionowe gromady ludzkie; lasami ostrzy i paszcz ognistych wzajem ku sobie najeżone. Pomimo ogromnej sumy zdobytej wiedzy i rozumu, głupstwa otrzymujące cześć, cześć bałwochwalczą, dla tego tylko, że w sposób przyjemny drażnią skarłałą wyobraźnię i przesyconą ciękawość.

Wieża Eiffla ściąga ku sobie wszystkie narody świata, które wstępują na szczyt jej, podziwiają ją, wychwalają, opisują, a rozpierzchłszy się, wizerunki jej rozrzucają po świecie na papierach listowych i chustkach do nosa. Dla czego? Czy jest piękna? Wcale nie. Na widok jej zemdlałby z niesmaku, twórca Partenonu i któregokolwiek z gotyckich tumów. Może jest dobroczynną maszyną, z której popłynie na świat pociecha zasmuconym, nasycenie głodnym, uszlachetnienie upadłym? I to nie. Więc cóż? Oto, jest naprzód wielką, potem niezwykłą; wielką—materialnie, niezwykłą—ordynarnie, ale o to tylko idzie tym, którzy wielbią materię, a podniebienie rozpieszczone słodyczami pragną zaostrzyć do nowego używania smakiem choćby dowiecipnego głupstwa.

Moda, przez zużyte zmysły i chore wyobraźnię dyktowana—staneła na piedestale, z którego spadła idea. W salonach, obok flirtów, które są maskowaną różami rozpustą, rozprawy nieskoń-

czone o starej porcelanie i chińskich wachlarzach, na ulicach jeden wściekły okrzyk: pieniądź! pieniądź! i drugi: rozkosz! rozkosz!

Z trybuny prawodawczej, jak kamień grobowy, padają na świat słowa: „siła przed prawem,“ pracownia filozofa wyrzuca w świat świst morderczy: *Ausrotten!*

Muzy nawet zstąpiwszy z Helikonu, tańczą kankana; muzyka, ze sztuk najeteryczniejsza, staje się pochlebnicą zmysłów; w piśmiennictwach, ideały zalane przez rynsztoki, które przybierają nazwę obrazów natury i to całej natury, aż przychodzi do tego, że ktokolwiek pragnie uchodzić za wiernego malarza natury, maluje tylko—rynsztoki. Czy przynajmniej to ubóstwienie materii, ta gonitwa za rozkoszą, ta pomiędzy—ludzka i pomiędzy—narodowa walka o zdobycie największej sumy materii i rozkoszy, to przesycone smaku takie, że zadawalnia go rzecz najłatwiejsza pod słońcem do znalezienia, mianowicie: błoto—czyniąc ludzkość twardszą, okrutniejszą, brzydszą, mniejszą, czynią ją szczęśliwszą? Gdzie tam! Nigdy jeszcze nie miała ona w łonie swoim tyłu ran, na ustach tyłu wyrzeknięć, a tak czarne sny, które teraz mającą w jej głowie, miewała chyba w tej oddalonej epoce, gdy przed 10-ciu wiekami w konwulsjach głodu i morowych zaraz, oczekiwala mającego nadejść końca świata. Owszem, są to sny jeszcze czarniejsze, bo wówczas przed przewidywanym końcem swoim ludzkość drżała z trwogi i odrazy, a dziś koniec ten, stał się w niektórych jej teoryach celem wskazywanym dla dążeń i pożądań. Filozofia doradzająca ludzkości dobrowolne przecięcie pasma swego bytu jest wyrazem tych udreżeń niesłychanych, które przynosi ludzkość w tym właśnie momencie, w którym otworzyły się przed nią najbogatsze studnie rozkoszy i w którym najnamiętniej pić z tych studni zapragnęła. Przez usta filozofów swoich, ludzkość woła: pragnę umrzeć! i spełnia to pragnienie przez coraz większą liczbę—samobójców. Przecinają dobrowolnie pasma dni swoich ci, którzy utracili wszelką wiarę, nadzieję i miłość, czynią to ci, którzy wśród zapalczywej, drapieźnej, zwierzęcej walki o byt, i nietylko o byt, ale o jego rozkosze, zwycięzonymi zostali; czynią to starcy przedwczesni, z których namiętności wyssały ochotę i siłę do życia, czynią to nawet dzieci, przez nierównowagę kształcenia się fizycznego, moralnego i umysłowego skaleczone, hypertropią ambicyi i powszechnym pesymizmem zarażone. Samobójstwa dzieci, świat nie znał jeszcze dotąd. Jest to specjalny owoc czasów naszych. Jakto? dziecko i samobójstwo! Ta wcielona radość, nieopatrzność, niewinność i—samobójstwo! Ta wiosna i—ta zima! Ta postać niedorośli i przez akt wzrastania do wiecznego ruchu, śmiechu, krzyku pobudzona, te usta, których nie wykrzywił jeszcze nigdy spazm namiętności, te oczy, w których nie miały jeszcze czasu przejrzeć się winy i smutki świata—i ta ręka niosąca ku sercu lub skroni mordercze narzędzie! Gdyby nie było żadnych innych, to zjawisko, jest w zasadniczej sprzeczności pierwiastków swoich tak zadziwiająco i przeraźliwe, że samo jedno starczyłoby za dowód niemyłny głębokiego zatrucia, któremu uległa ludzkość.

Nie chcę być potwarczynią czasów swoich. Wiem, że ze strony umysłowych prac i dociekań, fizycznych ulepszeń i ułatwień bytu, posiada on strony wspaniałe; że nawet ideał dobra nie zagasił w nim całkowicie i utajonym płomieniem pali się w wielu piersiach, na wielu miejscach, w wielu dziełach ludzkich. Ale, że ten ideał prawie wstydliwie ukrywać się musi przed niedowierzaniem i sobkostwem, że ci, którzy go głoszają i jemu służą, doświadczają dziś losu kopeiuszków wysmianych, głodnych, przesladowanych, miano głupoty noszących, że wszystko, co na ziemi potężne, świetne, podziwiane, naśladowane, znajduje się w wyraźnej opozycji przeciw wszystkiemu, co jest tym ideałem—to wydaje mi się rzeczą pewną i bardzo dla świata groźną.

Przyczyny tego wszystkiego są niezmiernie liczne i różnorodne, wyliczenie ich i rozbiór sta-

nowićby musiały cały obszerny traktat. Więc na tem miejscu wyliczać i rozbiierać ich nie będę; powiem tylko: gdzie upatruję ratunek...

(Dalszy ciąg nastąpi),

N A E A S C E

POWIEŚĆ

przez

M. N. Sas-Junoszę.

(Dalszy ciąg),

Nie mając co robić tułał się po ulicach zadumany, i znalazł się wreszcie przed teatrem. Przyszło mu na myśl wejść na maskaradę; jutro opowie Natalii jaka to niemądra i czoza zabawa.

Sale były pełne. Ścisł, gwar, pisk masek, góra nie do wytrzymania. Roman stanął sobie z boku, pod filarem, i patrzył ze złośliwym niemal wyrazem na roje masek przesuwających się w wieladzie.

Kilka strojów rzeczywiście było ładnych, gustownych; zapewne to owo towarzystwo w którym miała się znajdować Natalia. Ale przypatrzywszy się zachowaniu tych pań z bliska, winshawał sobie Roman, że Natalia w domu zastała. Panie te, przekonane, że ich nikt nie zna, pozwały sobie przybierać swobodne maniery co co towarzyszących im panów zdawało się niezmiernie bawić.

Samotna postać Romana zwróciła uwagę kilku owych masek; pokazywano go sobie, szeptano. Spozstrzegł to, i nie chcąc zostać wciągniętym do towarzystwa z którego później trudno by mu było prędko się wydostać, zabierał się do odejścia, nagle, nim się mógł opamiętać, zrobiło się jakieś zamieszanie, i Roman ujrzał się otoczonym kołem różnobarwnych masek kobiecych trzymających się za ręce, które tak szybko kręciły się w około niego, że wydostać się niemógł.

Zły, zdenerwowany, niewiedzący, co z sobą robić, nie wiedział, co mówić bo te wszystkie twarzyczki okryte maskami tworzyły tyleż tajemnic; stał więc w miejscu z filozoficznym spokojem, czekając...

Wtem, tak szybko jak się utworzyło, rozerwało się koło na nowo; jedna z masek, urocza Carmen przystąpiwszy do niego, włożyła mu w dziurkę od paltota piękną żółtą różę, piszcząc zmienionym głosem:

„Zgadnij kto jestem!...“ i zniknęła w tłumie. Roman wymknął się co prędzej, w najgorszym humorze.

W pięknym towarzystwie znalazła by się Natalia! nie ma co mówić! Wyrzucił żółtą różę jakby z obrzydzeniem, którem cały był przepełniony... Scena owa, przypominająca taniec bachantek prawdziwym niesmakiem go przejęła; zadowolony był, iż maski pokrywały twarze tych pań, bo nie pozna żadnej z nich przy spotkaniu; nie byłby w stanie zapanować, nad sobą żeby każdej z nich nie dać uczuć, jak mało na szacunek zasługuje...

Ponieważ jeszcze zbyt późno nie było, Roman, któremu się spać nie chciało, wszedł do pierwszej otwartej restauracji, i kazawszy sobie podać coś do jedzenia, zagłębił się w czytaniu gazet.

Upłynęła godzina, dwie może; było już bardzo późno. Roman uspokojony nieco, po doznaniem niemilem wrażeniu chciał już odchodzić, gdy sala napelniała się zaczęła młodzieżą wracającą z balów, rozbawioną i hałaśliwą, a często... w podnieconych humorach. Jeden z nich, kuzyn pani Natalii, i znajomy dobrego Romana zbliżył się do niego, pytając czemu tak prędko opuścił maskaradę. Bawiono się wybornie, intry-

gowano całą salę, i teraz dopiero te panie dały się namówić do odjazdu. Roman wyznał, że mu ta zabawa wydała się wcale niesmaczną, i dla tego wyniósł się szybko.

Kuzyn pani Natalii zaczął się śmiać. Pewnie że nie smacznym mu był ów figiel z nim urządzony!... To prawda; te panie pozwoliły sobie trochę za nadto, no, ale pod maską wiele się przebacza... Jednak oni, mężczyźni byli tam na to, aby panie obronę i opiekę miały. Żle, że Roman się usunął, panie są oburzone, a Natalia mu tego nie wybaczy...

Natalia?... Straszne przecucie szarpnęło sercem Romana, aż się zachwiał...

Rozbawiony kuzynek tymczasem przawił dalej, nie uważając tej zmiany, że Natalia była duszą całej zabawy, ona wymyśliła ów taniec w około Romana, i przypięła mu żółtą różę, której daremnie szukał oczami w klapie paltota Romana.

Roman nie był w stanie odpowiadać, ani słuchać.

Jedna tylko, gnębiąca myśl go trapiła: Natalia była na maskaradzie, Natalia jako Carmen, pomimo prób jego...—Oszukała go!

Uwolnił się nieszczęście od gadatliwego kuzynka, i wrócił do domu, gdzie resztę nocy bezsen- nie strawił.

Rano był u Natalii.

Przyjęła go, wybiegając z uśmiechem z wyciągniętymi rękami na jego spotkanie, slichna w rannym białym stroju, z odrobiną zmęczenia w oczach i na zbladłej nieco twarzy, które wdzięk jej jeszcze podnosiło.

Ale on nie ujął rąk wyciągniętych, tylko stał przed nią bladej bardzo, surowy, ze złowrogim błyskiem w ciemnych oczach.

—Przyszedłem zapytać jak głowa pani dzisiaj?...—rzekł stłumionym głosem, który także brzmiał złowrogo.

Nazywał ją panią, był taki zimny...—nie mogło to ujść jej uwagi, ale ufała swoim siłom, i do serca tego nie wzięła.—Spojrzała zalotnie na niego, i wdzięcznym ruchem kiwnęła ręką w powietrzu.

—Po co udawać!—rzekła melodyjnym swoim głosem. Wiesz bardzo dobrze że była na maskaradzie...—Nie jest to grzech tak wielki, aby mój pan marszczył się tak srogo... Chciałam ci dać dowód, że co się kobiecie zachce, nie tak łatwo tego się wyrzeknie...—Mogłam być inaczej postąpić, nalegać więcej, wyprosić abys mi pozwolił raczył... lecz! nie czuję się zdolną do długiej walki! nuży mnie ona, i zniechęca!...

Słuchał, a po jego twarzy drgania nerwowe przechodziły coraz częściej, usta zbierały...

Mówiła znowu, słodkim łagodnym swoim głosem szarpiać go za serce.—Mówiła że dziwna to miłość, która z despotyzmem w parze idzie, nie uznając nic, nie poświęcając zastarzałych zapatrywań, dążąc tylko do własnego zadowolenia. Ona despotyzmowi poddać się nie może... nie przyzwyczajona do niego. Rozumie miłość opartą na wzajemnej ufności, wzajemnych ustępstwach... inna dla niej nie istnieje.

Jakto! ta kobieta śmiała mu takie rzeczy mówić? jemu, który poddawał się jej jak dziecko bez woli?—czyż nie miała dosyć subtelności by nie poznać niestosowności swego wczorajszego kroku?—czyż nie czuła niesmaku po wczorajszej maskaradzie, kiedy on przesiąkł był niem do dzisiaj, on mężczyzna?—nie czuła, że jeżeli prosił ją by została w domu to tylko chcąc ją uchronić od zetknięcia z pospolitą, trywialną rzeszą, która jej czysty umysł skalać może? I ona go nazywa despotą?—narzeka na stosunek nieznanający ustępstw, poświęceń?

Och! było mu już nadto! i wypowiedział jej to wszystko, zdobywając na spokój, ważąc słowo każde by jej nie uraził... a potem pokorny, rozrzewniony, pytał co mu na to odpowie...

Siedziała nieruchoma, bladej, z wyrazem silnego postanowienia na twarzy. Milczała.

A gdy on znowu prosił o słówko serdeczniejsze, czując że nagle wiara w tę kobietę chwiać się w nim poczyną,—odrzekła cichym, zmęczonym głosem, że na taką wymowę, na takie argumenta ona żadnej odpowiedzi нема...

Nalegał widząc, że mu się wymyka; ratować chciał tę miłość, która widocznie usuwała się przed nim, i stanowczo zadał pytanie: Kochasz mnie?—wypowiedziane głosem, w którym namiętna, nakazująca prawie nuta brzmiała.

— Na co mnie pytasz?...—odrzekła z wysileniem, a w głosie jej ostry jakiś ton przebił. — W tej chwili...—czuję... tak straszną pustkę w sercu... że chyba... chyba to, co brałam dawniej za uczucie... czem innym było... chyba... ciebie nigdy nie kochałam!...

Prawda cisnęła jej się do ust prawie gwałtem; tak było z pewnością, bo sama przeraziła się tem co wyrzekła, i zrywając się z miejsca, uciekła...

Roman odszedł, a wieczorem już go w mieście nie było...

Do Wiednia przysłano mu pierwszy jej list. Przepraszała go za fatalną swoją pomyłkę, tłumaczyła się, popierając tłumaczenie to argumentami, prosiła go o przebaczenie, pisała, że kocha szalenie...—żyć bez niego nie może i nie wiedząc że miasto opuścił, spodziewała się, że odwiedzi ją zechce... że wszystko się naprawi...

Nie odpowiedział, ale napisał do domu żeby mu żadnych listów, które przyjdą pod jego adresem za granicę nie odsyłało. Niechciał pamiętać o tej kobiecie, która jak zła gwiazda w życiu mu zaświeciła.

Ale czy zapomnieć łatwo mu było?—czy zapomniał?

Niestety pamiętał i w tej chwili wspomnienie żywo mu w myśli stało dzięki nazwisku jej usłyszanemu z ust pana Leonarda...

Wspomnienie to, cień złej gwiazdy, towarzyszył mu stale, mącąc każde wrażenie przyjemne, każdą chwilę rozkoszniejszą w życiu, odbierając ochotę do czynu, do życia. Stał się obojętnym, zimnym, bo stracił wiarę w kobietę, którą kochał, cenił, szanował. Natalia wraz z towarzyszami swemi z maskarady, ukazała mu kobiety w innym świetle, jak je sobie dotąd przedstawiał; te lalki gonące za zabawą, zalotne, płochy nie posiadające serca ni sumienia, odarte z idealnych szat w jakie je dotąd oblekał, odraze w nim budziły, i drwił sobie z nich od tej pory. Ze skrajnego idealisty stał się realistą, a często szydercą... I sądził, że zawsze już takim pozostanie. Nie powiemy żeby mu dobrze z tem było; człowiek z charakterem nie zmienia przekonań z łatwością, a Roman zrosł się ze swemi, ale odrzucił je precz z całą energią na jaką mógł się zdobyć.

Przez lat kilka wiódł koczowniczy żywot, przenosząc się z miejsca na miejsce bez wyraźnego celu. Znaczny majątek nie stawał na przeszkodzie tym wędrowkom, z których często, coś pożytecznego przywiózł, zajmując się bez zapalu archeologią, którą dawniej pasjami lubił, a która teraz stała mu się środkiem dla zabicia nudów i czasu, który bardzo często zbyt długim mu się wydawał.

Ojciec nie kępował go niczem, nie narzucał gospodarstwa, do którego Roman nie czuł wyraźnego pociągu, i ufając synowi całkowicie, pozwoił mu urządzić sobie egzystencję, jaka mu najwięcej do gustu przypadnie. Gdy jednak Roman nie myślał dotąd wcale o ożenieniu, stary pan Bronimirski wpadł na myśl swatania mu Kamilli, i tak się tem wkrótce zajął, że stało się to *idée fixe* staruszka.

Roman, czując, że jego karyera sercowa na zawsze skończona, nie oparł się woli ojcowskiej. Każą mu się żenić? na tem się skończyć musi nie dziś to jutro... wszystko mu jedno kim będzie ta żona...

Pojechał na zimę do miasta, w którym Kamilla w tym roku w świat wstępowała, starał się być dla niej uprzejmym, a potem przybył do Żarnka, przygotowany na to, że wkrótce zostanie narzeczoną...

Jednak!.. na samym wstępie do tego domu spotkała go miła, niespodziewana przeszkoda, która mu plany pomieszała, napelniając serce nadzieją i trwogą, bólem i rozkoszą... Przeszkodą ową była młodziutka postać dziewczęcia w szarej, skromnej sukience, której nieśmiało spojrzenie pełne pytań czuło dotąd na sobie...

Serce mu się podnosiło w łonie, gdy myślał o tej uroczej istocie z takim spokojem i wdziękiem znoszącej swoją niewesołą dolę... i bunt mu w duszy powstawał, bunt na niesprawiedliwość ludzką, która śliczną, utalentowaną, wykształconą, ale biedną dziewczeczkę poniewierać kazała, odsadzając od praw wszelkich, bo... była uboga...

Od razu czuł, że już z Kamillą ożenić się nie potrafi, i zaraz przy pierwszej rozmowie dał jej to uczuć.

Ale nie wiedział jeszcze wtedy, że uczucie, które mu się w sercu rodzić zaczynało dla Janiny, miłością się stanie... bronił się jej jak mógł, posługując się w obec niej urąganiem, szyderstwem, niegrzecznością nawet... Daro, po tylu latach zamarcia odżyło w nim serce, i kochał znowu z młodzieńczą siłą, pełen obawy co mu to uczucie przyniesie i czy wzajemność zdobyć potrafi...

Jednak wahał się jeszcze... nie wierzył ko-bietom.

Nieustannie ukradkiem—studował młodą siorotę; umyślnie wciągnął ją wtedy w długą rozmowę, dotykając drażliwych kwestyi, sondując jej przekonania, zagłębiając się w najskrytsze myśli... i musiał się uznać za pokonanego! Takiej szlachetności uczuć, sprytu, jasnego zapatrywania na rzeczy i tak dziecinnej niewinności nie spotkał dotąd w żadnej kobiecie. Był zwyciężony, i czuł, że jeżeli ma być jeszcze kiedy szczęśliwym, to chyba za pośrednictwem tego dziecka...

I tak, dziwnym trafem wspomnienie dawnej z nową miłością spletało się razem w jego sercu, o ile tamta odraza jego napełniała, o tyle druga nowe siły zdawała się w nim obudzać. Czuł się lepszym, jakby odrodzonym, gotowym na nowe walki, z których pragnął i spodziewał się wyjść zwycięzcą.

Na rozmyślaniach tych upłynął Romanowi czas tak długi, że już słońce zachodziło na lasy, gdy skierował się napowrót ku pałaczkowi.

Zdziwił się, zastawszy ciotkę mocno poirytowaną, spacerującą wielkimi krokami po salonie, w którym ujrzał zagłębioną na kanapce pod oknem Kamillę. Leonarda nie było.

Zapytał zaraz o niego.

— Pojechał!—brzmiała krótka, gniewna odpowiedź hrabiny.

— Jakto! tak nagle? dlaczegoż?..

— Al.. zapytaj o to Kamilli!—odrzekła hrabina, ledwie mogąc się umitygować, i wyszła szybko, mrużąc coś do siebie.

Roman, złem przecuciem wiedziony, podszedł do kuzynki, i biorąc krzesło usiadł przy niej. Teraz zauważył, że na oczach Kamilli były ślady łez.

— Kamilko co to znaczy?—rzekł serdecznie, bo będąc rzewnie usposobionym, miał obecnie serce gotowe do współczucia z cudzym smutkiem. — Ciocia jakaś niezadowolona i ty smutna... czyżby Leonard zawinił?

— Zawinił? pewnie! wybrał się z niewczesną wizytą!

W głosie Kamilli czuć było wielkie rozdrażnienie.

— Nie rozumiem... mówił Roman, nie chcąc przyznać, że się już domyślał.

— Nie rozumiesz?—zaśmiała się przymusowo. — Nie sądziłam, że jesteś tak naiwny, żeby się nie domyśleć celu wizyty tego pana... Może nawet żeby nam ułatwić porozumienie zostawił nas tak długo z nim samym?—dodała, mierzając go bystrem i gniewnem spojrzeniem.

— Posadzasz mnie niesłusznie, gdyż nie wiem nawet o co tu chodzi... odrzekł poważnie.

Kamilla odwróciła się od niego z nerwowym pośpiechem, kryjąc twarz w fałdach firanki.

— A więc dowiedz się, że... pan Leonard raczył mnie prosić o moją rękę i... dostał kosza!

Milczenie zapanowało między kuzynkami. Kamilla skubała brzeg firanki, służącej jej ciągle za ochronienie, a z poza przezroczywej tkaniny oczy jej pilnie śledziły Romana, który siedział zgnębiony i blady.

— Czemuś to zrobiła, Kamilko?—zapytał w końcu poważnym choć trochę drżącym głó-

sem. — Przecież to człowiek, który podobać się może... Partya to pod każdym względem dobra...

Ruszyła się niecierpliwie.

— A dajcie mi pokój z waszą „dobrą partyą!“ mama mi już tu o niej dość nagadała!

— A więc milczę... zapytam tylko: czy masz do niego antypatyę?..

— Tak! zawołała żywo. *Do niego* przyznaję nie mam żadnej sympatii..

„Do niego“ zostało silnie podkreślone... spojrziała głęboko w oczy kuzynowi i szybko odeszła.

Roman westchnął ciężko i ponuro się zamyślił.

Nie wesoło było tego wieczora w Żarnkach, szczęściem przybyło parę osób z sąsiedztwa, i niemila atmosfera przerwana została Janina jedna, nie wiedząc o niczem, była swobodną jak zwykle, i gdy po herbacie wysłano ją do fortepianu, z wesołym sercem rozkazał hrabiny spełniła.

Podczas gdy szukała między nutami sztuki, którą grać chciała, zbliżył się do niej Roman.

— Sądzę, że godzina mego odjazdu nadeszła...—rzekł przytłumionym głosem

— Nadeszła od dawna!—odrzekła z usmiechem.

— Winniejszym jestem niż sądziłem... rzekł znowu.—Pani wie co się dziś stało?

Nie wiedziała nic... Roman w krótkich słowach objaśnił ją, przytaczając rozmowę, którą miał skutek tego z Kamillą.

— Czemu mnie pani nie przestrzegła?... dodał z łagodną wymówką.

— Mówiałam panu, że się w to mieszać nie będę...—odrzekła.

— Mój Boże! czy mam uwierzyć, że pani na prawdę bardzo mnie nienawidzi?

Pochyliła się, przerzucając nuty gorączkowo.

— Nie twierdziłam tego nigdy... rzekła cicho.

— Panno Janino!.. pani jedna zna stan mojej duszy i walki, na które jestem obecnie narażony... pani jednej wiadomą jest trudna pozycya, w jakiej się znajduję... rozumie pani także pewnie, że w tej chwili... nie należę do szczęśliwych. Czy mi pani nie dasz dobrego słowa na drogę? czy zechcesz zapomnieć uraz, jakie słusznie mieć możesz, a które mi zawsze na sumieniu pozostaną?..

Wzruszona była mimowoli. Roman mówił cicho i pochylił się blisko przy niej, niby pomagając jej w szukaniu nut, a słowa jego razem z oddechem muskały jej włosy...

— O niech nie zostają!—wyrzekła żywo, szybko, bez namysłu.—Nie mam żalu... żadnego!..

— Dziękuję pani...

Roman wymówił te słowa tak głębokim, poważnym, a miękkim tonem, że Janina kompletnie się zmieszała i coprędzej uciekła, siadając do fortepianu, bo dziwnego jakiegoś doznała wrażenia, z którym ukryć się, które zagłuszyć pragnęła. Czowała, że w stosunku jej do Romana nadchodzi nowe jakieś stadyum niby przyjaźni czy poufałości—i bała się czegoś.

Nazajutrz pani Żarnowiecka, która po wczorajszej scenie z Kamillą z powodu pana Leonarda była w fatalnem usposobieniu, niemile została zdziwiona wiadomością o nagłym wyjeździe Romana, wyjechał switem, zawiadamiając ciotkę listownie, że ojciec wzywa go natychmiast do siebie.

— Odrzuciłaś wczoraj jednego,—ozwała się hrabina gniewnie do córki przy śniadaniu, nie zważając na obecność Janiny,—a oto dziś drugi umknął!..

— Więć mama chciała żebym pana Leonarda przyjęła?—odrzekła z irytacją w głosie Kamilla.—Mama by każdego przyjęła, kto by raczył oświadczyć się o mnie... Cóż to? czy jestem taką brzydka, starą, czy niemam prawa wyboru?..

— Nie przesadzaj, proszę cię! Wiesz dobrze o co mi chodzi, *il vaut toujours mieux avoir plusieurs flèches à son arc...* Co ci szkodziło posłuchać mojej rady i nie odrzucać stanowczo tego poczciwego chłopca... W razie gdyby Roman nie dopisał...

— Nie trzeba było wmawiać we mnie to czego się nie było pewnym! — rzekła Kamilla z irytacją w głosie. — Zresztę, dajcie mi pokój! pójdę za mąż kiedy mi się będzie podobać i za tego, którego będą chciała, a swatać się nie dam, ani namawiać, bo to we mnie wstręt budził!

Z gniewem odrzuciła nogą krzesło i wyszła z pokoju.

Nie rzadko zdarzały się podobne sceny między matką, a córką, co Janinę, zawsze obecną temu, niepomiernie martwiło... Upór i samowola ze strony córki, natrafiały na niewyrozumiałość matki, ztąd nieustanne nieporozumienia...

Rola matki w obec córki dorosłej nie jest rzeczą łatwą; trudno się przyzwyczaić do faktu, że dziecko staje się osobą dorosłą, że swoją wolę mieć zaczyna i własne zdanie objawia.

Zdanie to czasami różne bywa od zdania matki, a wola niesforna... ileż to taktu, ile wyrozumiałości potrzebna, aby umieć pokierować temi budzącymi się instynktami, a nie spać ich!

Hrabina wyrozumiałości nie znała, nie znała także innej woli, prócz swojej własnej; pozwałała córcę wyburzyć się, wygniewać, ale nie ustąpiła nigdy. Miłość jej dla jedynej córki miała także pewne granice: kochała Kamillę, ale pod warunkiem, że ta ostatnia uległa jej pozostanie. Sama jednak nie przeczuwała, jak źle robi postępując podobnie. W Kamilli wyrabiała się wprawdzie samodzielność, ale w złym kierunku granicząca z uporem, który nie w sobie wyrozumowanego nie miał, objawiając się jedynie jako instynkt obrony przeciw despotyzmowi matki.

Przez kilka dni z rzędu hrabina chodziła obleczona chłodem i godnością, Kamilla zaś chmurą i obrażoną.

Cały sierpień minął bez żadnych ważniejszych wypadków. Panie robiły wizyty w sąsiedztwo, przyjmowały u siebie gości i — nudziły się.

Przy końcu miesiąca pani Żarnowiecka otrzymała zaproszenie do państwa Przemyskich swoich dawnych znajomych, na wieś, na parę tygodni. Dom się ożywił nagle; przygotowywano się do drogi, pakowano kufry. Pani Żarnowiecka wprost od p. Przemyskich wybierała się na karnawał do Lwowa, musiano więc odpowiednie przygotowania poczynić. W pustym domu, na kilka miesięcy z rzędu, pozostawała Janina sama... Na jej dwudziestolich zaledwie barkach, spoczywał cały zarząd domu pod nieobecność hrabiny, która zostawiając sierocie starą, poczciwą, ale zupełnie prostą kobietę, klucznicę dla towarzystwa, sądziła, że uczyniła wszystko czego było potrzeba, do czego była zobowiązana...

Janina, nie przyzwyczajona do innego z nią postępowania, milcząc zgodziła się ze swym losem. Jedną przytem miała pociechę: była uwolnioną na czas dłuższy od wizyt Juliusza, którego siostra na całą zimę wywiozła, aż do Paryża.

(Dalszy ciąg nastąpi).

wniejszej swojej notatki biograficznej wyjmując parę szczegółów o tym autorze.

Dziecię Warszawy, wyniósł p. Ryszard Ruszkowski ztąd wiele wrodzonych przymiotów i cech samoistnych, które później służyły, jako szczegóły dobitne, przy kreśleniu różnych postaci scenicznych. Stopniowo talent p. Ruszkowskiego wzrastał w miarę zdobywania doświadczenia i obserwacji życiowych.

W Krakowie, przeszedłszy niepospolitą szkołę Kozmianowską, wykształcił się na bardzo wybitnego artystę; później we Lwowie ogarnął wszechstronnie całą dziedzinę sztuki aktorskiej. Z przerwą paroletnią, podczas której przebywał w Krakowie, Ruszkowski wraca znowu do Lwowa — i tu zdobywa ostateczne i prawdziwie zasłużone powodzenie.

Pracując na scenie, Ruszkowski żył w dobrych stosunkach z towarzystwem, zbliżonym do teatru, jednając sobie sympatyę ogólną. Dowcipny, miły i serdeczny *Rymio* bywał wszędzie, widziany przez wszystkich jak najlepiej. Wśród tych wizyt i obcowania z różnymi ludźmi, bystre jego oko chwyciło w lot spostrzegane rysy; pomysł do kompozycji scenicznych szybko się w głowie rodziły — i z pod pióra powstawały zaczęły jedne po drugich pełne życia i wielkich zalet krotkowie i komedye lekkie a swobodne.

W tym czasie, kiedy Ruszkowski przebywał po raz pierwszy we Lwowie, poznał go jeden z typowych obywateli ziemskich Podola galicyjskiego, p. Adolf Abrahamowicz. Człowiek to światowy, doskonały znawca życia, bywalec, o umyśle ruchliwym i usposobieniu nerwowem. Abrahamowicz miał wielkie zamiłowanie sceny, ciągle chodził na przedstawienia do teatru hr. Skarbka — i posiadał dar narracyjny, którym zadziwiał słuchaczy. W opowiadaniach Abrahamowicza była zawsze myśl, którą umiał wyrażać w formie wesołej; żywe słowo drgało taką nutą szczerą, tyle w tem było dowcipu i humoru, że audytorjum p. Adolfa pękało ze śmiechu.

W kole literacko-artystycznym zeszli się pewnego razu Abrahamowicz z Ruszkowskim — i po dłuższej z sobą rozmowie, tak wzajemnie do siebie przyglęli, że odtąd stanowić zaczęli jedną nierozłączną całość artystyczną. Bujne ale rozwieżone pomysły Abrahamowicza, Ruszkowski ujął w prawidłowe kształty, uporządkował je, uzupełnił własnymi ideami — i oto w ten sposób utworzyła się spółka literacka, która wkrótce miała zająć na rynku dramatopisarskim pierwszorzędną miejscę.

Abrahamowicz i Ruszkowski szli wspólnie, powodzenie między sobą dzieląc przez lat kilkanaście. Niedawno, nie wiem dla jakich powodów, spółka została zerwana, Abrahamowicz zamilkł, Ruszkowski poszedł dalej swoją drogą, pisując ciągle, świadcząc o rzeczywistym, samodzielnym talencie komedypisarskim.

Najświeższy właśnie utwór Ruszkowskiego ujrzyliśmy temi czasy w teatrze przy ul. Daniłowiczowskiej.

W „Jadzi-Wdowie“ naprózno byśmy szukali głębszego motywu, tezy lub czegoś podobnego, autor przez ciąg całej swej sztuki ani razu nie dotknął takiej materii, słusznie sądząc, iż w krotkowie nie potrzeba myśleć o tendencyjności, idei przewodniej etc. W krotkowie musi być ogień, werwa ruch nieustanny, szybka zmiana sytuacji, przepełnionych błyskami i fajerkami dowcipu — z tego wszystkiego składa się utwór z piany, śmiechu i iskier humoru, co sprawia na szerokiej publiczności efekt niezawodny.

Losy Jadzi-wdowy, która miała starego męża i zasnęła wskutek tego wielu smutnych rozczarowań, posiadają dużo lekkiej brawury w traktowaniu szczegółów i dobrze się w ogóle wydatniają. Oczywiście, Jadzia nie ma najmniejszej ochoty wyjść powtórnie za mąż, zwłaszcza iż ją w tem ujemnym uprzedzeniu, względem związków małżeńskich wspierają stare dwie panny — kuzynki, którym przy Jadzi wygodnie i dobrze. Na ślub wdowieństwa jednak spiknęła się zмова rodziny — a właściwie testament ojca, wymagającego od córki posłuszeństwa, w kierunku powtórnego małżeństwa, Czy wszakże pomysły rodzinne byłyby wywarły skutek, nie-

wiedzieć, ale że postanowienie Jadzi topnieje pod wpływem pana Feliksa, dzielnego młodzieńca z Warszawy, to nie ulega wątpliwości. I Jadzia — wdowa zostaje panią Feliksową.

Na tym wątku intrygi Ruszkowski osnuł krotkowie, wycieniowawszy ją nadzwyczaj starannie w pojedynczych figurach i drobiazgach akcji. Nic dziwnego, że się na tej nowej farsie oryginalnej publiczność bawi wysmienicie, rzecz jest doskonale wyreżyserowana i przez artystów grana bez zarzutu. Parę kochającą się odtwarzają bardzo dobrze pani Junosza i p. Jarszewski Reszcie artystów pp. Morozowicz i Sikorski przewodniczą jak najskuteczniej.

W ubiegłą sobotę ujrzały światło kinkietów „Matki“ Jerzego Hirschełda, młodego dramaturga niemieckiego, który napisał swój utwór i zdobył wybitne powodzenie w świecie. Oto, co dwudziestocztero-letni autor pisze o sobie do redakcyi „Echa“:

„Jestem zapracowany do tego stopnia, że z zaszczytu przedstawienia się publiczności warszawskiej wywiązuję się w sposób zwieszły. Raczyście mi to wybaczcie. W miesiącu bieżącym skończyłem lat 24. Urodziłem się w Berlinie i tu uczęszczałem do gimnazjum. Gdy szkołę opuściłem zajmowałem się handlem. Było to w okresie 1890—1893. Napisałem wówczas jedną rzecz dramatyczną i tę odczytałem Ottonowi Brahm i Gerhardowi Hauptmannowi. Oni to zdziwili, że opuściłem drogę handlową i rozpocząłem studia nad piśmiennictwem i przez rok pracowałem na wszechnicy monachijskiej. Po powrocie do Berlina, napisałem w zimie 1895 r. „Matki“, dramat, który w parę miesięcy potem został wystawiony na scenie teatru Wyzwolonego, później w teatrze Niemieckim z powodzeniem. Na jesieni 1896 wystawiono go w Wiedniu, gdzie otrzymałem nagrodę imienia Bauernfelda. Zarówno „Matki“, jak i tom nowell moich „Dämon Kleist“ oraz jednoaktówka „Zu Hause“ wyszły w Berlinie, nakładem S. Fischera. Pomieniona jednoaktówka była wystawioną na wiosnę 1896 r. w teatrze Niemieckim w Berlinie. Nowella zaś „Jeziro górskie“ (Der Bergsee) wyszła u Jerzego Bondi również w Berlinie.

Obecnie mam, na ukończeniu nowy dramat współczesny. Szczerze jestem uradowany z wiadomości o wystawieniu „Matek“ na scenie warszawskiej, prawdopodobnie w dobrym i dokładnym przekładzie...“

Mamy więc wizerunek autora „Matek“ skreślony przez samego Hirschełda pokrótce, lecz wyraźnie; znać w tej autobiograficznej notatce umysł treściwy, nie lubiący frazeologii czezej i puste. Wobec tego można być spokojnym o rozwój niezaprzeczonego talentu młodego dramaturga, którego sztukę po raz pierwszy Warszawa zobaczyła przed kilku dniami.

Jerzy Hirschełd zapoznaje nas w swych „Matkach“ z Robertem Freyem, młodym kompozytorem, który nie może skrzydeł do lotu rozwinać, ponieważ warunki zewnętrzne nie pozwalają mu wznieść się wyżej; właściwie przyczyną takiego stanu rzeczy nie są warunki zewnętrzne, ale zanik woli i energii w młodym człowieku. Ojciec Roberta, zakochanego w robotnicy Maryi jest despotycznym filistrem, bezwzględny i nieugięty nawet dla własnego dziecka; zamiast syna przygarną do piersi i ból jego ukłósać — stary Frey wypędza Roberta wraz z Maryą.

I odtąd przez dwa lata Robert cierpi nędzę, kąsem chleba karmi się u Maryi, męczy się najokrutniej, nie mogąc tworzyć ani grać, — tylko miłość rozjaśnia ten zakątek nad wyraz smutny i biedny.

W tej nędzy Robert marnieje powoli, i byłby zapewne zmarniał do reszty, gdyby śmierć ojca nie zbliżyła go znowu do domu.

Ciepło gniazda rodzinnego, wytworność mieszkania, instrument czekający na artystę, któryby na nim sonatę Beethovena zagrał, słodczy rozmowy z siostrą lub z dawnym nauczycielem Munkiem, wreszcie widok matki, przynoszącej ze spiżarni dla jedynaka smaczne pieczywo, — wszystko to działa orzeźwiająco na chłopca, zapominającego o dwuletnim opuszczeniu. Tylko Marya

PRZEGLĄD DRAMATYCZNY.

Jadzia-wdowa, krotkowie w 3-ach aktach Ryszarda Ruszkowskiego.

Matki, sztuka w 4-ach aktach Jerzego Hirschełda.

W kilka dni po wystawieniu w Rozmaitościach „Figlów Amora“, na scenie teatru Małego dano krotkowie w 3 aktach Ryszarda Ruszkowskiego, który należy do tych ludzi utalentowanych, co indywidualność swoją objawiają w paru kierunkach z rzeczywistą korzyścią dla uprawianych gałęzi sztuki. Aktor bardzo zdolny w kierunku ról charakterystycznych, występujący stale w teatrze hr. Skarbka we Lwowie, jest zarazem pisarzem dramatycznym o wyrobionej firmie i ustalonym powodzeniu scenicznym. Z da-

stoi mu przed oczami,—a kiedy ona przybywa, pragnąc wypowiedzieć uczucia do głębi ją przenikające, Robert mówi jej o miłości, choć w istocie sam sobie nie wyobraża pożycia z ukochaną; ta jednakże poświęca się po macierzyńsku i daje Robertowi wolność do pracy bez obowiązków, usuwając się mu z drogi.

Taki jest zarys przebiegu akcji w „Matkach,” wyzyskany przez młodego autora ze znamionami rzeczywistego talentu.

Pomijając początkową luźność ekspozycji, trochę za przewlekłej, w dramacie Hirschfelda widzimy sytuacje nieraz nacechowane dosadnie pełną ekspresją charakterystyką. Sceny mianowicie Roberta z Maryją, Maryi z siostrą jego, Jadwigą—należą do ustępów bardzo wymownych i przekonujących.

Zapewne, bohater sztuki, Robert Frey, jest figurą, nie budzącą silniejszego nad współczucie sentymentu; bohater to prawdziwie *fin de siècle*: bez woli, bez zdolności do czynu, umiający tylko rozwodzić treny nad swoją niedolą. „Dziwna rzecz—mówi jeden z krytyków niemieckich,—jak trafnie Hirschfeld zgromadził w charakterze Roberta, z subtelną, a okrutną bystrością, zdobyta w szkole samoodczucia, wszystkie pierwiastki, z których każdy, świadomy przedmiotu, może wyczytać, że ten człowiek młody wiele chce, lecz może mało. Ci młodzi „moderniści“ są często olśniewająco genialni i twórcy, skoro dotyczą tematu niemocy artystycznej. Wybierają oni chętnie owe tematy z przebiegu wewnętrznego swego rozwoju, malują wątplenia i nędze, którym podlegali wówczas, gdy walczyli o zdobycie powodzenia.“ Wiele jest w tych słowach prawdy szczerej choć gorzkiej.

„Matki“ wywarły niewątpliwe wrażenie na publiczności naszej, choć mniejsze—niż się tego spodziewano. W każdym razie w Jerzym Hirschfeldzie poznaliśmy pisarza, po którym w przyszłości dużo oczekiwać można.

A. Dobrowolski.

NA MORZU.

OBRAZY I NASTROJE.

(Dalszy ciąg).

Jechaliśmy całą siłą pary, chodziło bowiem o to, ażeby o 3-ej stanąć w Gibraltarze, pomimo, że z Tangeru wyruszyliśmy o 1½ godziny później, niż się wyruszać zwykło. Jakoż okręt zdawał się mieć skrzydła. Miało się wrażenie, że chyba i kolej żelazna nie może mknąć prędzej. Czulo się pracę dwóch maszyn, a szruba z taką gwałtownością mąciła wodę z tyłu okrętu, że okręt zdawał się pomrukiwać z cicha.

Przez jakiś czas staliśmy na pokładzie. Ale słońce dogrzewało coraz mocniej, a wiatr dał się uczuwać o tyle tylko, o ile okręt nasz, mknąc jak koło wysięgowy, pruł gęste i skwarne powietrze.

Z chwilą, kiedy Tanger i wybrzeża afrykańskie roztopiły się we mgłę, pokład, po którym dotąd uwijało się całe towarzystwo pasażerów, zaczął się wyludniać. Pierwszy, który zszedł do kajuty, ażeby tam, w chłodzie, zdrzemnąć się po śniadaniu, był ojciec moich pańienek. Za nim poszła jego żona, która się także przekonała niabawem, że na pokładzie jest za gorąco, za duszno, nawet w cieniu. Tego samego zdania był widocznie i nasz towarzysz Francuz, który, im więcej mu się przypatrywałem, tem bardziej

wydawał mi się podobnym do młodego Dumasa, a który—zauważyłem—zaczynał tak samo asystować matce moich Angielek, jak ja jej córkom.

Okazało się nawet, że doskonale mówił po angielsku, do czego się przez cały czas naszego spaceru po Tangerze nie przyznawał. Dopiero podczas śniadania, przy którym miał miejsce obok powabnej pani Stone (bo takie było nazwisko tej rodziny), zdradził się ze swoją gruntowną znajomością języka angielskiego, czem w niemały kłopot na razie wprawił pana Stone, ten bowiem, przypuszczając, iż jest nierozumiany przez sąsiada swej żony, mówił do niej różne rzeczy *intime*, nie obliczone na to, że mogą być zrozumiane w najbliższem sąsiedztwie. To też zdziwił się niepomiernie, gdy nasz Francuz ni zład ni zowad zwrócił się do niego — po angielsku. *Tableau!* Pani Stone, choć nie panna, zarumienila się, jak podłotek, a p. Stone, który się wszystkiego spodziewał, tylko nie tego, iż wszystko, co mówił poprzednio, było zrozumiałe naszemu Francuzowi, poprostu zdębiał. Zmieszany, zaczął się jąkać, a w końcu umilkł zupełnie, pozwalając się wyręczać swej żonie, która tymczasem rozmawiała ze swym sąsiadem.

Teraz na pokładzie zauważyłem, iż nasz Francuz, uważając widocznie, iż młodszy Dumas, dość siwy, jeszcze się może podobać dojrzałej Angielce, z przyjemnością asystował państwu Stone, a szczególnie miał rozpromienione oblicze, gdy p. Stone oświadczył, że idzie do swej kajuty na poobiednią drzemkę. Zdaje się, że to leżało w widokach naszego Francuza. Niestety, cnotliwa Angielka, nie chcąc gorszyć swych córek, w parę minut po odejściu męża, poszła za jego przykładem, co znów nie bardzo zdawało się być na rękę jej adoratorowi. Była to dlań mała porażka, którą sobie tak wziął do serca, iż nie upłynęło pięć minut, a i on poszedł za przykładem państwa Stone, t. j. poszedł do swej kajuty, z niemiłej szlachetnym zamiarem, aby się zdrzemnąć.

W pięć minut po nim i ja wraz z moimi pańienkami opuściłem pokład, ale nie na to, aby się zdrzemnąć, lecz żeby posłuchać *septetu* Beethovena, który mi obiecały zagrać na cztery ręce *misses* Stone.

W tym celu udaliśmy się do sali jadalnej, gdzie, zaraz na samym wstępie, doznaliśmy małego zawodu: byliśmy pewni, iż tam będziemy sami, i tylko pod tym warunkiem zgodziły się moje *misses*, że pierwsze zasiądą do fortepianu. Tymczasem w sali jadalnej, którą, uprzątnąwszy po śniadaniu, już zdołano przeobrazić w rodzaj *Salon de lecture* ze stolami ponakrywanymi aksamitnymi obrusami, zastaliśmy: 1) naszych czterech Francuzów siedzących przy jednym stole, przy czarnej kawie z koniakiem, i grających w domino, i 2) moich sąsiadów Anglików, tych milczących, którzy w tej chwili grali w szachy, siedząc przy drugim stole, zamysłeni i zaabsorbowani grą, a w tak wygodnych pozach, iż moje panny, spostrzegłszy ich, cofnęły się trochę zażenowane. Oczywiście, iż ani chciały słuchać o granii w takich warunkach. Perswadowałem, ale napróżno! W końcu wyjednałem tyle, że mię upoważniły do zapytania tych panów, czy im to nie zrobi różnicy, jeżeli ja zacznę grać na fortepianie. Ja! Nie *one!* Z tego bowiem, żeby one zagrały coś przedemną, musiałem zrezygnować. Zrezygnowałem. Przyszło mi to o tyle łatwiej, że zarówno Francuzi, jak Anglicy, zapytani przezemnie, czy pozwalają pograć na fortepianie, oświadczyli, że im to tylko uprzyjemnić może: pierwszym — grę w domino, drugim — grę w szachy. Tą odpowiedzią ośmielony, od razu zasiadłem do pianina, wziąłem kilka akordów,

a przekonawszy się, że pianino ma bardzo ładny ton, zagrałem *preludium* Chopina, poczem zaczął grać nokturn *Fis-dur*. Był to znak dla moich pańienek — stosownie do naszej umowy — że mogą zejść, gdyż *missy* moją uwieńczyły pomyślny rezultat. Jakoż obejrzawszy się po chwili (przyrzeciem nie przestawałem grać w dalszym ciągu), ujrzałem je, siedzące na najbliższej kanapie, o parę kroków za moimi plecami. Słuchały bardzo uważnie, a siedząc razem, z główkami pochylonemi ku sobie, wyglądały prześlicznie, jak dwa aniołki!.. Nie chcę się chwalić, ale wrażenie, jakie na nich uczyniłem grą swoją, wypadło o wiele pomyślniej, niż mogłem przypuszczać w ogóle. Dość powiedzieć, że kiedy skończyłem wspomniany nokturn, jeszcze się nie zdołał obejrzeć za siebie, kiedy niespodziewanie usłyszał oklaski. Okazało się, iż pomiędzy bijącymi brawo, oprócz moich pańienek i owych Francuzów, był także i kapitan okrętu i dziobaty doktor okrętowy, i wygolony *maitre d'hôtel*. Byłem mile zdziwiony, ujrzawszy tak powiększone grono moich słuchaczy, którzy mi za pomocą oklasków starali się okazać swoje zadowolenie, więc powstałem z krzesła, skłoniłem się całemu towarzystwu, a przy tej sposobności nie mogłem się nie uśmiechnąć, spojrzawszy na moich sąsiadów Anglików, którzy jedni, zapatrzeni w szachownicę, zdawali się nie wiedzieć, iż wogóle coś dzieje się koło nich. Ani się obejrzel! Siedzieli tak, jak przedtem, nieruchomi, w pozach *sans gêne*, z łokciami na stole, niewzruszeni ani muzyką Chopina, ani oklaskami, ani głośnemi żartami na ich temat, ktoremi nas wszystkich rozmięszyl jeden z Francuzów. Po chwili znowu zaległa cisza i zacząłem grać *Impromptu* Schuberta, to z waryacyami. Tak upłynęła prawie godzina. W ciągu tej godziny, wyczerpawszy mój pamięciowy repertuar, musiałem pójść do mej kajuty, ażeby z niej powrócić z nutami, których na szczęście miałem kilka zeszytów w walizce... W końcu przyszli i państwo Stone, i nasz Francuz, mogący uchodzić za młodszy Dumas, i jeszcze kilka osób; słowem, prawie wszyscy, co się znajdowali na okręcie. Miałem powodzenie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Ferdynand Hösick.

OD WYDAWCY.

Początek kończącej się obecnie w dodatku do „Bluszczu“ powieści

pod tytułem:

SIOSTRY

nowi prenumeratorowie otrzymać mogą na żądanie bezpłatnie.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkusze 10 powieści p. t. *Siostry*. Przełożyła Z. S. — Arkusz 1 powieści p. t. *Taqisara*, przez autorkę powieści *Książę Saracinesco* (F. Marion Crawford). Przekład z angielskiego.

Treść: Dom, przez Jadwigę Strokową.—Łuk i arfa, przez A. Langego.—Eliza Orzeszkowa, przez J. Nitowskiego (dalszy ciąg).—W kwestyi równouprawnienia kobiet, przez Elizę Orzeszkową (dalszy ciąg).—Na łasce. Powieść, przez M. N. Sas-Junoszę (dalszy ciąg).—Przegląd dramatyczny, przez A. Dobrowolskiego.—Na morzu, przez Ferdynanda Hösicka (dalszy ciąg).

Dodatek obejmuje: *Siostry*, powieść. Przełożyła Z. S., arkusze 10.—*Taqisara*, powieść przez autorkę powieści *Książę Saracinesco* (F. Marion Crawford). Przekład z angielskiego. Przegląd mód. 34 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycje obiady.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Krakow-Przedmieście Nr. 66.
Дозволено Цензурою.—Варшава, 29 Января 1897 г.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg